

BIESZCZADY W PRL-u 2

Krzysztof Potaczała



BOSZ
Bieszczady

Krzysztof Potaczała

BIESZCZADY W PRL-u

Część druga



BOSZ

Wydawnictwo BOSZ

Biuro: ul. Przemysłowa 14, 38-600 Lesko

tel. +48 13 469 90 00, faks +48 13 469 61 88

biuro@bosz.com.pl

www.bosz.com.pl

Spis treści

Od Autora	7
Nie o każdym śpiewają pieśń	9
PAX i ziemia obiecana	37
Pociągi pod sowieckim nadzorem	47
Z namiotem na Bieszczady	61
Dla siebie i ludowej ojczyzny	85
Kryptonim „Marzyciele”	107
Chata pod czerwonym sztandarem	123
Ludzie z caryńskiej doliny	155
Kombinat utraconych marzeń	185
Kościół zbudowany w jedną noc	211
Bombowa wizja towarzysza Gierka	227
Żołnierze do zadań niezwykłych	233
Literatura	246

Z namiotem na Bieszczady

Gdy z pociągu na stacji w Zagórze wysiadła grupa objuczonych tobołami młodzieńców, ich widok wzbudził współczucie miejscowych kobiet. „Jacy oni biedni, mizerni, to chyba przymusowe” – szeptały. Takim nieoczekiwanym powitaniem w czerwcu 1955 roku zaczął się pierwszy po wojnie turnus turystyczny, dający początek studenckim akcjom letnim w Bieszczadach.

Pałatka, koc, siekiera, manierka – całe wyposażenie turysty pioniera. – Niewiele potrzebowaliśmy do szczęścia, wystarczało, że możemy iść przed siebie i cieszyć się przestrzenią – przyznają ówcześni zdobywcy gór. Wieczorem rozbijali obóz na polanie, rozpalali ognisko, w kociołku warzyli strawę i kładli się spać pod płachtą rozpiętą na paru kołkach. Namioty? Przez pierwsze cztery lata wakacyjnych wypadów nie było ani jednego. Oprócz drelichowej pałatki za dach nad głową służyły czasami zrujnowane poukraińskie domostwa, których od akcji „Wisła” nowi osadnicy nie zdążyli rozebrać na opał.

W Zagórze, nad brzegiem Osławy, stała stodoła. To w niej za pozwoleniem gospodarza rozlokowała się główna baza letnich turnusów. Tu zjeżdżali się ich uczestnicy, stąd brano sprzęt, jeszcze raz pochylano się nad mapami, by „przegadać” trasy. Po nocy spędzonej na sianie robiono zakupy w geesowskim sklepie i jedzono obiad w zagórskiej knajpie, gdzie zyskiwano ostatnią szansę zaopatrzenia się w łyżkę i widelec (do zwrotu przy następnej okazji). A potem już naprzód, po przygodę. Na siedemnast osobowy obóz zabierano ćwierć tony żywności: blisko sto kilogramów chleba, dziesiątki kilogramów tłuszczu, makarony, kasze, ryż, konserwy, marmoladę... Wszystko na własnych barkach, w plecakach bez stelaży!

Ten „żelazny” zapas musiał wystarczyć na dwutygodniową traperkę po bezludnych jeszcze w wielu rejonach Bieszczadach. Gdzie sklep od sklepu dzieliły dziesiątki kilometrów, gdzie państwowa komunikacja samochodowa dopiero przecierała drogowe szlaki, gdzie nie zaczęto jeszcze budowy dużej pętli, a o małej nawet nikt nie myślał. Przy odrobinie szczęścia można było uzupełnić naprędce żywność w Cisnej lub Wetlinie. Dłuższy postój następował dopiero w Ustrzykach Górnych. W połowie lat pięćdziesiątych stała tu jedynie strażnica WOP, jednak dzięki gościnności dowództwa zdrożeni długim marszem w deszczu lub spiekocie piechurzy mogli kimać w zbudowanym nieopodal kurniku. – Nie zanotowano przypadku, by nie zmieścił się tam któryś z obozów, choć pomieszczenie miało nie więcej jak osiem metrów kwadratowych



Przeprawa prowizorycznym mostem przez potok Wołosaty w Ustrzykach Górnych, lato 1958 roku

Fot. archiwum SKPB



Studenci wnoszą beczkę piwa na Szeroki Wierch, rok 1968

Fot. archiwum SKPB

– uśmiecha się Jerzy Korejwo, przewodnik turystyczny i emerytowany goprowiec. – Z Górnych szlak wiódł zazwyczaj na Halicz i dalej aż do Stuposian, gdzie funkcjonowała jedyna w okolicy piekarnia. Stamtąd przez Otryt przedostawaliśmy się do Polany i Czarnej, a następnie do położonych „bliżej świata” Ustrzyk Dolnych. Kto przetrwał taką wyprawę, mógł z czystym sumieniem uznać się za twardziela.

Wspólne wędrowanie było szkołą życia, ale przyciągało nie tylko z tego powodu. – W 1956 otworzyły się strefy nadgraniczne we wszystkich polskich górach – opowiada Wilhelm Orsetti, również przewodnik i dawny ratownik GOPR. – Do tego Bieszczady były owiane legendą, toteż rychło okazały się najbardziej atrakcyjnym kierunkiem turystycznym. W przeciwieństwie do innych górskich regionów, tutaj wolno było biwakować i rozpałać ogień w dowolnym miejscu, bez obawy, że nagle ktoś przyjdzie i zrugą cię za łamanie przepisów. Lecz najważniejsze, że mogliśmy maszerować godzinami bez napotykania innych ludzi, mając poczucie wolności i stając się po trosze traperami.

Biwak pod pałatką, rok 1958.
Namioty weszły do wyposażenia
dopiero później

Fot. archiwum SKPB



Posiłek zdrożonych piechurów
gdzieś na bieszczadzkiem szlaku,
połowa lat sześćdziesiątych.
Nigdzie indziej jedzenie nie
smakowało tak wybornie

Fot. archiwum SKPB



Pod koniec piątej dekady rada naczelna Zrzeszenia Studentów Polskich postanowiła „podzielić” polskie góry między poszczególne ośrodki akademickie. Przykładowo Kraków miał się wgrzyźć w Tatry i Gorce, Katowice w Beskid Śląski i Żywiecki, zaś Warszawie przypadły Bieszczady i Beskid Niski (później przejęty przez środowisko lubelskie). Jak podkreślają wędrowcy z tamtych lat, był to najbardziej smakowity kawałek tortu i należało się nim delektować. – Rzuciliśmy się na ten tort jak szaleni, latem z centralnej bazy w Zagórzu wychodziło po sześćdziesiąt–siedemdziesiąt turnusów, każdy dwutygodniowy, liczący po około dwadzieścia osób. Chcieliśmy się nasycić przestrzenią, nalykać powietrza. Potem żyliśmy nim w stolicy aż do następnego sezonu.

W 1959 roku warszawscy żacy z wynajętej nad Osławą stodoły przenieśli się pod namioty. Był to równocześnie początek tworzenia letnich baz noclegowych z myślą o obozach wędrownych w Wetlinie i Ustrzykach Górnych. Wkrótce podobne powstaną w Tworylnem, Sękowcu i Smereku (lata sześćdziesiąte), a następnie między innymi w Prełukach, Solince, Cisnej, Kołonicach, Horodku, Komańczy, Wołkowyi, Zawoju, Berehach, Krywem, Maniowie i jeszcze w paru innych wsiach, które na długo staną



Witold Michałowski (na wprost) próbuje ujarzmić groźnego byka, który przybłąkał się latem 1968 roku na studencki biwak

Fot. Janusz Szałajski

się wakacyjnym domem dla tysięcy studentów¹. Zresztą dość szybko bazy namiotowe otworzą się również na innych turystów, którzy za drobną opłatą (w 1972 roku miejsce do spania z pościelą kosztowało dziesięć złotych, bez pościeli, lecz z kocem – pięć złotych, zaś rozbicie własnego namiotu na polu biwakowym – dwa złote) będą mogli przenoćować w bezpiecznym miejscu, posilić się, opatrzyć rany i pójść dalej lub – jak to się niekiedy zdarzało – zostać na dłużej i wsiąknąć.

– Wsiąkało się dla piosenki, dla wspólnej pracy i wspólnych toastów – wspomina Bożena Wójcik, wdowa po Januszu Wójciku, wieloletnim szefie bazy noclegowej imienia Żubra Pulpita w Ustrzykach Górnych. – Tak zawiązywały się przyjaźnie, nieraz na całe życie, daleko wykraczające poza obręb SKPB. Zachodził do nas młodzieńcy jeszcze Andrzej Wasielewski, nazwany potem Połonią, któregoś dnia zjawił się Grzesiek Chudzik, późniejszy naczelnik bieszczadzkiego GOPR, gościli u nas ludzie kultury i nauki. Bieszczady, jak żaden inny region w kraju, ściągały najróżniejszy ludzki asortyment.

Marta Korejwo zaczynała wędrówki po Bieszczadach w tym samym czasie, co jej przyszły mąż. Jak on targała kilometrami wypełniony po brzegi plecak, a waga takiego bagażu zaczynała się nierzadko od dwudziestu kilo. – Nie było zmiłuj. Dziewczęta dźwigały toboły na równi z chłopakami, tyle że co niektórzy z nich, dla przykładu Jurek, dokładali sobie jeszcze betonowy słupek... Tu każdy chciał się jakoś sprawdzić, albo w sile, albo w sprycie. Już samo budowanie bazy w dzikim terenie było niełatwą sztuką. Bo przecież nie chodziło jedynie o proste rozbicie namiotów, ale o wybranie najlepszego miejsca na obozowisko, lokalizację kuchni polowej, osadzenie w gruncie

1 Obozy organizowało Biuro Podróży i Turystyki „Almatur” oraz powołane w 1957 roku w Warszawie Studenckie Koło Przewodników Beskidzkich, w szeregach których znalazło się wielu znakomitych przewodników, pionierów turystyki kwalifikowanej, ratowników GOPR. Od początku biwaki i obozy w Bieszczadach cieszyły się ogromnym powodzeniem. Dla przykładu: w 1960 roku wzięło w nich udział 1080 osób, w 1965 – 3 tys., w 1970 – 5 tys., w 1974 już 8 tys., a w 1976 blisko 24 tys. osób. Liczby te rosły do połowy lat osiemdziesiątych.

Baza namiotowa w Tworylnem w 1965 roku. Niewielka, bardzo przyjazna i przytulna

Fot. Lesław Karst



wychodka, wytyczenie ścieżki do najbliższego potoku, rozdzielnie obowiązków tak, by nikt nikomu nie przeszkadzał i żeby wszystko grało jak w zegarku.

– Zorganizowanie obozu wiązało się wtedy z kilkudniową harową – podkreśla Grzegorz Chudzik. – Zaczynaliśmy jeszcze końcem czerwca. Samochód ciężarowy przyjeżdżał w pobliże planowanej bazy i zwał cały ten majdan na kupę, a my w kilka osób musieliśmy się uporać z deskami, drągami, namiotami, garami i pozostałym sprzętem koniecznym do funkcjonowania „hoteliku”. W Ustrzykach Górnych mieliśmy do dyspozycji dużą polanę nad strumieniem, około pięciu hektarów. Wjechać się tam nie dało, więc nosiliśmy wszystko na plecach. Potem obóz tworzyło dziesięć wojskowych namiotów, z czego dwa przeznaczaliśmy na świetlicę i magazyn. Budowaliśmy też wiatę na kuchnię i zadaszone śmietniki. W namiotach jednorazowo mogło spać sześćdziesiąt osób. Początkowo tylko na materacach, łóżka polowe doszły później.

– Samo stawianie kibelka, na dwa oczka, z osobnym wejściem dla kobiet i dla mężczyzn, to była wielka sprawa – zaznacza Bożena Wójcik. – Niby najgorsza robota, a właśnie do takiej typowano najbardziej zaradnych i zaprawionych w bieszczadzkich biwakach. Należało sprawić, by w surowych warunkach nawet prymitywna sławojka stała się dla każdego miejscem, z którego nie będzie musiał na gwałt uciekać, tylko spokojnie poczyta gazetę.

– Ale przecież to niecała praca, bo należało jeszcze zbudować system tam wodnych na potoku – dopowiada Maciej Szykowny, współorganizator ustrzyckiej bazy w latach siedemdziesiątych. – Z pierwszej, najwyższej, czerpano wodę do picia, z drugiej, nieco niższej – do mycia, a z trzeciej – do spraw sanitarnych i gospodarczych. Jeśli natomiast ktoś chciał naprawdę się wykąpać, to schodził pod most do potoku Wołosatego i czuł się prawie jak w wannie...

Chudzik: – Od razu przygotowaliśmy także duży zapas drewna, to był zresztą obowiązek poszczególnych turnusów. Szliśmy zazwyczaj na Kiczerkę i ściągaliśmy bukowy susz na naszą polanę. Tam zaopatrywali się w opał także turyści indywidualni i robotnicy drogowi. Nigdy tego drewna nie zabrakło.



Bożena i Janusz Wójcikowie
w rozmowie z młodzieńkiem
Andrzejem Wasielewskim (parę
lat później Jędrkiem Połonią),
który pomieszkiwał w bazie
im. Żubra Pulpita i wykonywał
dla niej prace plastyczne.
Ustrzyki Górne, rok 1972

Fot. archiwum bazy im. Żubra
Pulpita

Z czasem na bazie w Ustrzykach Górnych zbudowano domek dla szefa. Miał wymiary trzy na cztery metry, ale w razie potrzeby mieściło się w nim nawet dwadzieścia osób. – Schodziliśmy się tam zazwyczaj w czasie ulew, zaraz ktoś wyciągał gitarę, zaczynało się śpiewanie, ktoś inny przynosił gorzałkę – wspomina z rozrzewnieniem Bożena Wójcik. – Nikt nie narzekał, że mu za ciasno, bo autentycznie cieszyliśmy się sobą i Bieszczadami.

Jerzy Korejwo: – Wpadłem tam kiedyś na imprezę, siedzieliśmy zduszeni jak sardynki w puszcze, ale było nam wesoło. Gwar rozsadzał ściany, a pod powałą siedziała skulona popielica i wpieprzała makaron. – Ten domek powstał z żerdzi, blachy, papy, płyty pilśniowej i czort wie czego jeszcze – śmieje się Szykowny. – Dlatego potem mówiono, że zawiera w sobie dziesięć procent patyków, pięć procent wszelkiej budowlanej mieszanki i aż osiemdziesiąt pięć procent geniuszu ludzkiego...

– Musieliśmy sobie radzić wszelkimi sposobami, bo na rynku brakowało budulca, a nawet narzędzi – kręci głową Grzegorz Chudzik. – Kiedyś pojechaliśmy do sklepu żelaznego w Ustrzykach Dolnych, żeby kupić siekiery, młotki, gwoździe, ręczną piłę i coś tam jeszcze, bez czego nie mogliśmy należycie przygotować bazy. Poprosiliśmy ekspedientkę o rachunek na Biuro Podróży i Turystyki „Almatur” (od 1973 roku wyspecjalizowanej agencji Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, współorganizatora obozów), ale okazało się, że sklepy metalowe nie mogą wystawiać rachunków na firmy, tylko na osoby indywidualne. Co mieliśmy robić – odpowiedzieliśmy pani, żeby napisała fakturę na: Bogdan, Paweł i Tadeusz Almatur. Z całą powagą odparła, że tak też nie może być, ale o dziwo po naszej kolejnej propozycji ostatecznie wystawiła rachunek – na B., P. i T. Almatur...

Bazy obrastały stałymi gośćmi. Jeśli ktoś raz zasmakował noclegu w Sękowcu, Sme-reku, Komańczy albo w innym miejscu – już zawsze wracał. Bo może nie całkiem na serio, ale jednak niekiedy poszczególne noclegownie ze sobą rywalizowały, głównie o to, która w danym sezonie przyjmie więcej turystów, a tym samym więcej zarobi.

Główna baza SKPB
w Zagórzcu, lata
siedemdziesiąte.
Namioty i stodoła
zostały zastąpione
domkami
kempingowymi

Fot. Wojciech Jasiński



W Ustrzykach Górnych ktoś wpadł nawet na pomysł przyciągania zdorzonych piechurów atrakcyjnymi hasłami reklamowymi: „Świeże powietrze przez całą dobę”, „Figurujemy w przewodniku Michelin” (to z uwagi na wyborne jedzenie), „Modny prymityw tylko u nas” i tym podobnych.

– Bardzo zgrana grupka każdego lata spotykała się w Tworylnem – opowiada Marta Korejwo, przez kilka lat kierowniczka tej nadszańskiej bazy namiotowej. – Do wsi nie było normalnej drogi, po prowiant musieliśmy chodzić aż do Wołkowyi lub Zatwarnicy, ale nikt nie jęczał, nie wyłączając dziewczyn. W najbardziej krępkiej młodości człowiek nie myślał o przyszłościowych bólach kręgosłupa, tylko ładował na barki te trzydzieści kilogramów i drałował z uśmiechem na gębie. Taki był wtedy sznyt. Ponadto wyprawy zaopatrzeniowe stawały się estetycznym przeżyciem: wyruszało się świtem, widziało wschód słońca, żerujące jelenie. To była taka naturalna radość z oglądania przyrody i jej zjawisk; czuliśmy, że po to tu jesteśmy i nic więcej nam nie trzeba.

– Może właśnie to oddalenie od cywilizacji przyciągało w dolinę Tworylnego rozmaitych ciekawych ludzi – dodaje Jerzy Korejwo, podówczas wspierający narzeczoną w terenowej pracy. – Poza tym ta baza nie była duża, składała się z kilkunastu dwuosobowych namiotów ustawionych w kręgu jak wioska indiańska, stwarzając tym samym pewną kameralność, poczucie ciepła, nawet intymność. Był jeszcze magazyn w jednym namiocie wojskowym. Czasami kwaterował tam jakiś przypadkowy turysta, ale jak zaszła do nas zbłąkana panienka, to już wszyscy chłopcy ochoczo robili miejsce u siebie...

Do Tworylnego przyjeżdżał Dzidek, student z Wrocławia, który wręcz maniakalnie wędkował, ale nienawidził smaku ryb i nigdy ich nie jadał. – Kiedy my, zazwyczaj około ósmej, przecieraliśmy zaspane oczy, z niemałym zdumieniem odkrywaliśmy, że przed namiotem stoi wiadro pełne świeżych pstrągów. San nie żałował pożywienia, obficie darowywał także klenie, lipienie, okonie. Z kolei inny supergość, Lucjan „Babcia” Pydziński, był wytrawnym zbieraczem grzybów. Każdego ranka wyprawiał



Tak wyglądała baza namiotowa w Komańczy w 1982 roku

Fot. Andrzej Wielocha

się w okoliczne lasy, by zdążyć wrócić na śniadanie z koszami kozaków, maślaków i rydzów. Grzybowe uczyty, choć ciężkostrawne, cieszyły się niesłabnącym wzięciem, umieliśmy z nich przyrządzać nadzwyczaj smakowite dania.

Pydzińskiego przeważano kiedyś „Babcią”, gdyż nieustannie bolały go zęby i z tego utrapienia, nie mając dostępu do dentysty, obwiązywał bolącą szczękę kolorową chustką – taką samą, jaką nosiła i wciąż nosi niemal każda starsza wiejska kobieta. Był człowiekiem po przejściach, bez domu, pomieszkiwał więc w schronisku „Szept” w Tworylnem, utworzonym w baraku pozostałym po zabudowaniach do filmu *Rancho Texas*. Tak naprawdę schroniska nikt nie prowadził, ale istniało, miało przybitą na frontonie tablicę i ładną nazwę. No i tego jedyne go lokatora, który – gdy miał z kim pogadać – snuł opowieści o tym, jak z szeregow AK trafił do leśnych band, potem zaczął się ograbianiem gminnych sklepików, a jak się już ustatkował, to znalazł przystań w nadsańskiej dolinie. Po sezonie zostawał w Tworylnem samiutki jak palec i niecierpliwie czekał następnego lata. Wtedy załatwiał transport z parku konnego w Zatwarnicy i pomagał zwozić maneły na odradzającą się bazę. Podobnie czynił zresztą we wrześniu, gdy namioty składano i należało je odtransportować furą do Zatwarnicy albo do Lutowisk.

Było więc przytulnie (choć niekiedy deszcz zalewał wszystko), swojsko i trochę po domowemu, zwłaszcza w bazach prowadzonych przez kobiety. W Tworylnem obozowisko zawsze upiększał wielki wazon z polnymi kwiatami, podobnie w Ustrzykach Górnych (to ze względu na Bożenę Wójcik), ale już w paru innych – niekoniecznie. Dziwnie by to nawet wyglądało: tu ludzie z siekierami, nożami u pasków, trzydniowym zarostem, ubłoceni po kolana, a przed namiotami kolorowe bukiety... – To zróżnicowanie było potrzebne, aby turysta miał wybór, w jakim towarzystwie chce się znaleźć – tłumaczą dawni obozowicze. – Generalnie nie liczył się ubiór, marka butów czy firmowy plecak, tylko kaliber człowieka: jego charyzma, dowcip, głos, pomysł. Im ktoś miał więcej takich przymiotów, tym bardziej go rozchwytywano. A już osobnik

Roboty przy budowie domku w Ustrzykach Górnych wymagały umiejętności, sprytu oraz hartu ducha

Fot. archiwum bazy im. Żubra Pulpita



umiejący „z zębem” grać na gitarze, znający bogaty wachlarz piosenek, stawał się obiektem przetargowym.

O bieszczadzkich bazach namiotowych tak pisali Irena Matjas i Jerzy Korejwo: „Każda miała odrębny charakter, każda inny urok. Gwarne Ustrzyki Górne i Smerek – gdzie wieczór w wieczór wesoły tłum obsiadał bazowe ognisko i »na żebraczy sejm« ścigali liczni włóczykije z sąsiednich obozowisk, gdzie bazowych budziły odgłosy pierwszego porannego autobusu, a uczestnicy nocujących sporadycznie wycieczek autokarowych domagali się umywalni, jadłodajni i elektryki w kibelku. Baza w Buku – gdzie w bród przez Solinkę zajeżdżała wywrotką w goście na ognisko galeria przepysznych bieszczadzkich typów. Tu Jurek »Warszawiak« wspominał swoje kolejne dziewczyny i zawodził smętnie na organkach, podpity Piotr »Francuz«, reemigrant z Montesules-Mines, wyśpiewywał na okrągło Marsylianek, a tolerowany ledwie przez resztę bractwa były profesor lwowskiego gimnazjum kłął płacziwie los, który ściągnął go na tory kolaboracji i zламаł życie – stawiając, zamiast na szkolnej katedrze, przy pile tarczowej. Baza w Tworylnem – gdzie każdy nieplanowany gość budził sensację, skąd na poobiedni spacer na piwo biegało się 4 godziny, gdzie nocami podpici juhasi próbowali zaglądać »na dziewczuszki«”².

Nie mniej szczególna była też działająca od 1976 roku nad potokiem Prowcza baza w Berehach Górnych, prowadzona przez Witolda Michałowskiego i Jana Bazyla Lipszyca. Ten pierwszy jeździł w Bieszczady od 1956, prędko zasłynął jako człowiek pełen niekonwencjonalnych inicjatyw, dla którego żadna aura, żadne bagno, żadne bieszczadzkie burzany nie stanowiły bariery nie do pokonania. Nic więc dziwnego, że właśnie on wpadł na szalony w owym czasie pomysł wyciosania z drewnianych bali ozdobnej bramy, zwieńczonej sporych rozmiarów tryzubem, czyli anagramem imion Wołodymyra i Olgi, patronów Ukrainy. Szokowała ta brama niejednego, bo tryzub

2 *Pół wieku w górach: 1957–2007, czyli dzieje Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich w Warszawie*, praca zbiorowa pod redakcją Andrzeja Wielochy, Warszawa 2007.



Wiecha już stoi. Ekipa przybija deski na dachu

Fot. archiwum bazy im. Żubra Pulpita

kojarzył się większości wyłącznie z banderowcami spod znaku Ukraińskiej Powstańczej Armii.

– To absolutnie nie była próba gloryfikacji UPA, lecz odniesienie do ukraińskości tych ziem – tłumaczy Michałowski, który z czasem, poczuwając się do silnych związków z lokalizacją bazy, przyjął nawet pseudonim Michał Bereha. – Nie przeczę, przybyszów witałem okrzykiem „Nechaj żywe Samostijna Ukraina!” i do teraz uważam, że nic nagannego nie robiłem. Przecież cieszymy się z niepodległej Ukrainy, czyż nie? I takie było właśnie przesłanie tego powitania.

Może i tak, ale któregoś letniego popołudnia do Berehów przyjechała Służba Bezpieczeństwa. Oddelegowany z Rzeszowa oficer nie ukrywał, że przybył w sprawie bramy z tryzubem. – Bazyl Lipszyc strasznie się napocił, aby wytłumaczyć esbekowi, że ta brama to nic złego, żadna prowokacja, no ale w tym samym momencie od strony obozowego ogniska dobiegł go odgłos zaintonowanej przez studentów pieśni: „Hej, ty ojcie atamanie, Ukraina śpi w najlepsze. Śpią sokoły na kurhanie i stanęła woda w Dnieprze” – zaśmiewa się Michałowski. – Bazyl zdrętwiał, ale, o dziwo, „smutny pan” nic nie powiedział. Zaintrygowany podszedł do ogniska, a gdy podano mu wprost z kociołka garnuszek herbaty, podjął melodię...

Lipszyc: – Myśmy bardzo często śpiewali ukraińskie piosenki, one miały w sobie coś rozbijającego, uczyły się ich kolejne pokolenia turystów. Ale oczywiście ta nasza „ukraińskość” związana była z tym, iż znajdowaliśmy się w Bieszczadach, a więc na pograniczu, w kulturowym tyglu, który do 1947 roku stanowił o wyjątkowości tych ziem. Staraliśmy się dyskutować i próbować zrozumieć strony krwawego powojennego konfliktu, który doprowadził do akcji „Wisła”, a w konsekwencji do niemal całkowitego wyludnienia tego zakątka.

– Ukraińskie pieśni towarzyszyły nam na co dzień, każdy chciał je znać – potwierdza Bożena Wójcik. – Zazwyczaj cechowała je nuta rzewności, jakiejś tęsknoty za utraconym, chociaż nie brakowało też tonów wesołych i skocznych. W latach osiemdziesiątych poznaliśmy grupę młodych osób, potomków wysiedlonych Ukraińców, uczestniczących



Przygotowywanie wychodka do użytku przed rozpoczęciem sezonu. Wbrew pozorom ta niby upokarzająca praca była chętnie podejmowana przez obozowiczów

Fot. archiwum bazy im. Żubra Pulpita

w nielegalnym wtedy rajdzie „Karpaty”. Od nich nauczyliśmy się kilku fajnych melodii, wcześniej zupełnie nam nieznanych. Lecz warto podkreślić, że obok nich i szeregu kawałków typowo turystycznych, równie ważna była dla nas twórczość Okudźawy i Wysockiego.

Michałowski: – Oprócz wyprawiania się w góry, wytyczania coraz to nowych szlaków, zależało nam na wgłębianiu się w tu-tejszą historię. Odkrywaliśmy pozostałości spalonych gospodarstw, natrafialiśmy przypadkowo na zarosłe groby, a nawet na kości. Takie doświadczenia musiały poruszać, wzniecać ciekawość dla życia i kultury tych, których stąd wypędzono, pozbawiając na zawsze ojcowizny.

– Dla niedoświadczonych turystów byliśmy też po trosze nauczycielami, wska-

zującymi czego nie należy dotykać i nad czym warto się pochylić – uzupełnia Lipszyc. – Przeszość pogranicza bardzo wciągała.

– Wiele nocy spędziliśmy na rozwodzeniu się o dawnych Bieszczadach, bo autentycznie byliśmy nimi zafascynowani – tłumaczy Witold Michałowski. – Nigdzie indziej w Polsce nie spotykało się przyrody tak bujnej i tak porażającej swoim pięknem. Były też Bieszczady krainą wolności, gdzie każdy mógł się poczuć swobodnie. Bo niby istniały posterunki milicji, strażnice WOP, w gminach działały partyjne komitety, ale teren był na tyle rozległy, że bez obaw mogliśmy rozmawiać o zakazanych tematach, czytać podziemną literaturę, spotykać się z ludźmi uznawanymi przez władze za politycznie podejrzanych.

Studencką bazę namiotową w Berehach odwiedzali często Ludwik Pińczuk, gospodarz schroniska na Połoninie Wetlińskiej, oraz Władysław Nadopta, znany bardziej jako Majster Bieda. Obydwaj równie chętnie gościli w obozie w Ustrzykach Górnych (Nadopta swego czasu pracował jako sprzedawca piwa w słynnej beczce stojącej przed Pulpitem), zapraszani na imieniny, urodziny albo bez okazji. Przychodził tu także Olgierd Łotoczko, szef schroniska na Łopienniku. Nic, że miał cztery godziny drogi



Janusz „Pulpit” Wójcik przed domkiem, który był: portiernią, biurem, gabinetem porad, apteką, zakładem rzemieślniczym. Pełnił też wiele innych funkcji, także biesiadnych. Ustrzyki Górne, rok 1973

Fot. archiwum bazy im. Żubra Pulpita

piechotą, że nieraz przemókł do suchej nitki. Szedł, żeby posiedzieć z kompanią, a nad ranem mówił „cześć”, brał tobołek i wracał do swojej samotni. Łotoczko był jednym z tych bieszczadzkich herosów, którzy przegryźli się przez Bieszczady do ich najgłębszej tkanki i pokochali je miłością bezwarunkową.

Z Berehów co odważniejsi wyprawiali się przez zieloną granicę na piwo do Czechosłowacji. Nie trzeba było iść daleko, najbliższa wioska leżała tuż za miedzą, a smak złocistego napoju, wtedy o niebo lepszego niż rodzimej produkcji, przyciągał nie tylko studentów. Michałowski opowiada: – Schodziliśmy do wioski i spotykaliśmy bieszczadzkich drwali albo zbieraczy borówek. – Po kilku kuflach w międzynarodowym towarzystwie wracaliśmy tą samą drogą do Polski, przystając co chwilę pod krzakiem, żeby się wysikać. W ten sposób znaczyliśmy piwny graniczny szlak... Oczywiście pogranicznicy pod dowództwem kapitana Jakuba Demela ze strażnicy w Wetlinie wiedzieli o naszych wyprawach i próbowali nas wylapywać, parę razy nawet im się udało, jednak bez większych dla nas konsekwencji. Swoją drogą ten Demel to był odważny facet. Kiedyś znaleźliśmy pocisk haubicy dużego kalibru; powiadomiliśmy kapitana i on na własnych rękach niósł ten niewybuch przez siedem kilometrów do Wetliny, bo bał się go wieźć uazem po nierównej drodze. W każdej chwili wopista mógł się potknąć, mogła nastąpić eksplozja, urywając mu ręce i nogi, ale doszedł bez uszczerbku na miejsce, gdzie na zabezpieczonym terenie zdetonowano to zardzewiałe paskudztwo. Dzięki tej akcji zyskał mój podziw.

Wszystkie bazy miały jedną cechę wspólną – prowadziły je osoby do szpiku „zakazone” Bieszczadami, gotowe na niewygody i fizyczną pracę. Najpierw jako studenci, a później jako pracownicy zakładów i instytucji, którzy swoje urlopy przeznaczali na kolejną bieszczadzką wyprawę. To nie byli ludzie z przypadku, chcący się zabawić i nieco „pokowboić”, lecz świadomi wyboru przewodnicy, znawcy pieszej turystyki i sztuki biwakowania. Większość z nich miała uprawnienia do pilotowania autokarowych wycieczek (zajęcia dużo bardziej opłacalnego finansowo niż szefowanie noclegowym bazom), a jednak wybierała właśnie położone gdzieś nad strumieniami namiotowe obozowiska, prowadząc je za marne grosze, wystarczające jedynie na najbardziej skromne przeżycie. – Pieniądze nie były tak ważne, liczyła się za to przygoda, dzielenie radości i znojów, wspólny kocioł – wyjaśnia Jan Bazyl Lipszyc. – No i sposobność poznania wszelkich ludzkich typów pojawiających się nieoczekiwanie któregoś dnia albo nocy i przyjmowanych niezależnie od zasobności portfela. A jak już ten ktoś okazywał się człowiekiem skorym do pomocy, to zostawał na dłużej w charakterze pożytecznego waleta.

Studenci... Z rozmaitych uczelni i wydziałów, przyszli lekarze, psychologowie, inżynierowie, nauczyciele, dziennikarze – cały zawodowy przekrój. Nie wszyscy zapewne dotrwali do magisterium, ale mniejsza o to – wszyscy oni, te setki i tysiące, stanowili o rozwoju turystycznym Bieszczadów i popularyzacji regionu. Różnie się ta popularność przekładała na codzienne życie tubylców, obwiniających przyjezdnych za deficyty towarów w sklepach, ale generalnie tych niezadowolonych i wrogo nastawionych była zdecydowana mniejszość. – Nazywano nas „stonką”, która zalewa Bieszczady i wszystko pożera, zaś kierowcy na sam widok ludzi z plecakami ostentacyjnie odwracali głowy albo też ze skrzywioną miną informowali, że z takimi bagażami nie biorą – śmieje się Wilhelm Orsetti. – Pamiętam i takie sytuacje, kiedy szofer pekaesu celowo parkował na skraju pobocza w Ustrzykach Górnych w taki sposób, że turyści musieli uciekać do rowu. No a kiedy już chcieli wsiadać, to ze złością odpychał ich nogami, po czym z hukiem zatrząskiwał drzwi i odjeżdżał...

– Termin „stonka” w latach sześćdziesiątych przypisany był do turystów zorganizowanych, gdyż najbardziej rzucali się w oczy, jednak z czasem przeszedł na wszystkich wędrujących po Bieszczadach – opowiadają ówczesni zdobywcy gór. – Taki piechur był łatwo rozpoznawalny; miał na nogach trampki albo pionierki, rzadziej buty wojskowe, no i niósł plecak, niekiedy jeszcze z przywiązaną doń gitarą. W mniemaniu tubylców „stonka” była odpowiedzialna za wszelkie kłopoty komunikacyjne, a nade wszystko aprowizacyjne.

– Ja w sumie się nie dziwię, że na tle zaopatrzenia dochodziło do konfliktów – mówi Orsetti. – Jak sterany robotnik przychodził z pracy do sklepu i widział tylko smalec, miał prawo się wściekać.

To dlatego w najbardziej obleganych przez turystów miejscowościach kolejki po chleb ustawiały się w sezonie jeszcze przed otwarciem geesu – każdy się bał, że dla niego pieczywa zabraknie. Zresztą nie tylko pieczywa, ale i innych produktów pierwszej potrzeby.



Janusz Wójcik, Grzegorz Chudzik, Włodzimierz Mrozek, Maciej Szykowny i inni – biesiada w Ustrzykach Górnych

Fot. archiwum bazy im. Żubra Pulpita

– Jeśli na całe Ustrzyki Górne, odwiedzane przez tysiące ludzi, przywożono dziesięć kilo kiełbasy, to jak ekspedientka miała ją podzielić? – pyta retorycznie Chudzik. – Dostawał ten, kto był sprytniejszy. Więc tworzyliśmy sobie układy, żeby i dla nas przypadł jakiś kawałek wędliny. Podobnie było z nabiąłem sprowadzanym tu z mleczarni w Ustrzykach Dolnych. Kiedy nagle po dwóch latach zamknięto ten kiosk, byliśmy zmuszeni zaopatrywać się u gospodarzy w Pszczelinach albo jeszcze dalej. No i uruchamialiśmy kontakty rodzinne. Na przykład mój dziadek stał w Radomiu nocami po mięso i kiełbasę, a potem wysyłał paczkę w Bieszczady. Nigdy po drodze nic nie zginęło.

Orsetti: – Nauczeni doświadczeniem, w kolejnych latach już na długo przed wakacjami robiliśmy zapasy: cukier, konserwy, makaron, ryż, herbatę, wszystko co niezbędne. I potem, jak to zwoziliśmy do bazy, to rzeczywiście mogliśmy nieźle jadać. Nawet w czasach kartek na żywność.

Wójcik: – Ale w obozach potrafiąco też doskonale pichcić z tego, co uzbierano w lesie. Niektórzy wyspecjalizowali się w przyrządzaniu grzybów, inni w robieniu pierogów czy naleśników z jagodami. Takie naleśniki, do teraz śniące mi się po nocach i wywołujące zwiększone wydzielanie śliny, smażył mój mąż. Stał przy patelni po kilka godzin, dopóki wszyscy się nie najedli i dopóki borówek wystarczyło.

Za późnego Gierka, kiedy kryzys był coraz bardziej widoczny, w Bieszczadach nie brakowało jedynie piwa – zwykle w butelkach 0,33 litra, nader podłej jakości, ale i tak dla niemałej grupy klientów asortymentu, bez którego niełatwo było przeżyć kolejny dzień. I nie chodzi jedynie o drwali czy smolarzy, którzy po robocie do wieczora okupowali sklepy i knajpki, ale również o biwakujących gdzie popadnie turystów indywidualnych. Jak dzisiaj, tak i wtedy piwo było jednym z najważniejszych towarów letniej kanikuly. Bez piwa trudniej nawiązywało się nowe kontakty, oporniej wymieniało się poglądy, niechętniej użyczało miejsca w śpiworze.

Inaczej było w studenckich bazach, gdzie pilnowano, by alkoholu nie nadużywać, zresztą zgodnie z dwunastym punktem regulaminu Studenckiej Bazy Noclegowej SZSP, który wyraźnie precyzował: „Picie alkoholu oraz uprawianie gier hazardowych na

Otwarcie słynnego domu z patyków, papy, płyty pilśniowej i paru innych rzeczy. Mawiało się, że zawierał aż 85 procent geniuszu ludzkiego

Fot. archiwum bazy im. Żubra Pulpita



terenie bazy jest wzbronione”. W Berehach Witold Michałowski ściśle trzymał się tego przepisu, przez co przyłgnęła do niego łąka człowieka o wyjątkowo surowych zasadach. Ale i w Ustrzykach Górnych Janusz Wójcik zwany „Pulpitem” uczulał obozowiczów, że nadmierne spożywanie może się skończyć wyrzuceniem poza bramy obozu. A już w żadnym razie nie tolerował picia wtedy, gdy zaplanowano konkretne prace. – Nieraz były naprawdę wyczerpujące, aż nam pot oczy zalewał – mówi Maciej Szykowny – tymczasem mieliśmy prawo wyłącznie do picia zwykłej wody. Tak cholernie chciało nam się piwa, że któregoś dnia koło południa wyrwaliśmy się w kilku do gospody. Po dwóch obalonych kufkach postanowiliśmy założyć na bazie pierwsze wolne związki zawodowe. No i wywalczyliśmy prawo do picia wody z sokiem. Co dwie godziny.

Grzegorz Chudzik: – Janusz trzymał dyscyplinę. Żeby mu się towarzystwo nie rozlało, wprowadził kanon zasad i pewnie dzięki temu ta nasza baza przetrwała w niemal niezmiennym składzie aż osiemnaście sezonów! To nie znaczy, że nie organizowaliśmy imprez, jak najbardziej, nie było jednak bezsensownego chłania do bólu. Może dlatego, że myśmy nigdy się nie nudzili.

Szykowny: – Zawsze przed sezonem kupowałem u chłopca pod Radomiem bimber i wiozłem w Bieszczady. Delektowaliśmy się tym samogonem, trzeba przyznać, że był najwyższej jakości, a sklepowa wódka do niego się nie umywała.

Zdarzało się jednak, że Janusz Wójcik sam był zmuszany do wzięcia na swoją głowę ciężaru żytniej albo innej bałtyckiej – ot, choćby wtedy, gdy należało załatwić sprawę z góralami. W latach siedemdziesiątych na bieszczadzkich halach pasły się tysiące podhalańskich owiec, także w Ustrzykach Górnych. – Bacówka stała przy drodze do Wołosatego, a juhasi, chcąc skrócić sobie drogę powrotną z pastwisk, pędzili owieczki którędy popadnie – opowiada Szykowny. – No i któregoś dnia taki biały kierdel przevalił się przez naszą bazę, burząc ogrodzenie, namioty i zaścielając gównami całą czystą dotąd polanę. Pierwszy raz jakoś zdzierzyliśmy tę zniewagę, ale kiedy zdarzyło się to ponownie, Janusz wziął flachę i poszedł rozmówić się z bacą. Niby wszystko załatwił, a jednak kiedyś znowu juhasi pognali owce przez obozowisko. Zobaczył to Grzesiek



Fragment studenckiej bazy w Tworylnem, lata siedemdziesiąte

Fot. archiwum bazy im. Żubra Pulpita

Chudzik i dawaj krzyczeć: „No co jest, panowie, co jest?!”. A juhas mu na to: „środa”... – Janusz drugi raz musiał iść do bacy z załącznikiem – dodaje rozbawiony Chudzik. – Tym razem opił sprawę dokumentnie i mieliśmy wreszcie spokój.

Im bliżej siedziby gminy położona była studencka baza, tym częściej można się było spodziewać odwiedzin milicjantów lub wopistów. Funkcjonariusze sprawdzali książki meldunkowe (każdy turysta musiał być zapisany na kwaterze według danych z dowodu osobistego, czego starano się przestrzegać), rozpytywali o atmosferę w obozie, o to, czy ktoś podejrzany nie kręci się w okolicy. – Nie przeżywaliśmy zaledwie tych odwiedzin – przyznaje Bożena Wójcik – ale należało się pilnować, bo wśród obozowiczów mogli być i konfidenti. Od połowy lat siedemdziesiątych zaczęto zwracać baczniejszą uwagę na ludzi kojarzonych z peerelowską opozycją. U nas czasami tacy gościli, kiedyś parę nocy spał Jacek Kuroń, kiedy indziej Seweryn Blumsztajn. Jednego razu zajechał milicjant, zawołał mnie na stronę i wyszeptał, że jak tu przypadkiem zjawi się Kuroń albo Blumsztajn, to żebym zaraz powiadomiła posterunek w Lutowiskach. A właśnie w tym czasie Seweryn zjadał śniadanie przed namiotem...

Marta Korejwo: – Do Tworylnego było dość daleko, więc tam funkcjonariusze zachodzili rzadko. Ale już do Sękowca częściej, rozpytując między innymi o duchownych. W 1976 w Polsce eksplodował katolicki ruch oazowy, w Bieszczady przyjeżdżało sporo księży i młodzieży i ten ruch był na pewno w orbicie zainteresowania władz PRL. Ksiądz kojarzył się jednoznacznie, jako przeciwnik panującego ustroju, a już duchowny skupiający grupę podatnych na wpływy młodych ludzi był szczególnie niebezpieczny.

– Ze znanych ludzi przyjeżdżał do Ustrzyk Górnych między innymi Aleksander Paszyński, po wyborach w 1989 roku minister budownictwa w rządzie Mazowieckiego, profesor Janusz Beksiak ze Szkoły Głównej Planowania i Statystyki, późniejszy doradca premiera Bieleckiego, czy też Danuta Zagrodzka, dziennikarka „Życia Gospodarczego” i „Polityki” – wylicza Chudzik. A Bożena Wójcik dodaje, że niezależnie od

Beniowa – kapliczka, odpoczynek
w trakcie penetracji doliny górnego
Sanu

Fot. archiwum bazy im. Żubra Pulpita



zajmowanego na co dzień stanowiska ludzie ci (naukowcy, pisarze, lekarze etc.) nader chętnie garnęli się do fizycznych prac, nie wyłączając tych uważanych za najpodlejsze, jak czyszczenie wychodka. – Co więcej, sprawiało im to jakąś frajdę. Poza tym wtedy panował taki rytuał, że każdy bazowicz, czy to student, czy profesor, koniecznie chciał się załapać do drużyny nazywanej przez nas ręcznym wozem asenizacyjnym. Potem wszędzie opowiadano, że kibel w Ustrzykach Górnych jest bodaj najczystszy od Szczecina po Bieszczady. Nie do uwierzenia, lecz wielu „walczyło” o pierwszeństwo wyszorowania sławojki, podobnie jak o przywilej opróżnienia koszy na śmieci. Tu wygrywał akurat ten, kto wcześniej wstał.

Z obozów pod połoninami chodzono na tzw. wymianę do baz rozlokowanych pod Otrytem lub kawałek dalej. Rozgrywano partyjki warcabów, masterminda, cięto w kometkę; brodzono w Sanie za ukrytymi pod kamieniami pstrągami, puszczano wodne „kaczki” lub też leżakowano na brzegu, spoglądając od czasu do czasu na boki, czy aby w pobliżu nie pełźnie przepięknie ubarwiony na oliwkowo-żółto wąż Eskulapa – symbol tej części Bieszczadów, w dodatku zupełnie niegroźny i będący jedynie obiektem czysto estetycznego zainteresowania. W Sękowcu gady te miały wiele kryjówek, także w pobliżu studenckiego obozowiska, ale nigdy nie podejmowano prób ich wyłapywania. Zdecydowanie chętniej studenci wypatrywali w trawie ślimaków winniczków, a to z tej przyczyny, że wyspecjalizowali się w ich przyrządzaniu. Niełatwej sztuki kulinarnej nauczyli ich emigranci z Francji, którzy w latach sześćdziesiątych osiedli na pewien czas w Bieszczadach. – Trzeba się było z winniczkami strasznie namęczyć, żeby nadawały się do spożycia, nawet mi to trochę ciąży na sumieniu, ale za to jak smakowały – wzdycha Marta Korejwo, przez pewien czas szefująca w Sękowcu. – To było coś pomiędzy orzechami laskowymi a pieczonym kurczakiem, nie do podrobienia.

Z Ustrzyk Górnych i Berehów wyprawiano się również na Halicz – oglądać wschód słońca. Dla takiego widoku warto było zarywać noce. – Szczękając z zimna zębami, siedząc skuleni w okopach z czasów pierwszej wojny, oczekiwanie na świt skracaliśmy



Ten wychodek w Ustrzykach Górnych zyskał sławę jako bodaj najczystszy od Szczecina po Bieszczady

Fot. archiwum bazy im. Żubra Pulpita

nadzieją, że dojrzymy światła Lwowa – rozmarza się Witold Michałowski. – Nigdy ich nie dostrzegliśmy, nie dostrzegł chyba też nikt inny, lecz sama świadomość, iż może akurat, dostarczała nam wystarczająco silnych przeżyć.

Wielką przygodą były wędrówki do bieszczadzkiego „worka”, z punktem docelowym u strzeżonych półtorametrowymi pokrywami grobów hrabiny Klary Stroińskiej i jej męża Franciszka. Już wówczas było to miejsce niemal kultowe, jednak żeby tam pójść, należało mieć zezwolenie placówki WOP w Lutowiskach. Jej komendant, kapitan Michał Skrzypek, niechętnie patrzył na takie zachcianki, wołał mieć święty spokój pod samą sowiecką granicą i nie musieć narażać się na pretensje swoich odpowiedników zza *sistiemy*³. Ci, którym nie udawało się uzyskać zgody szefa strażnicy, próbowali forsować „worek” na dziko, narażając się w razie wpadki co najmniej na zapłacenie grzywny.

Akurat studentom spod znaku SKPB kapitan Skrzypek z zasady nie odmawiał, zwłaszcza tym z Ustrzyk Górnych czy Berehów, u których nierzadko bywał w gościnie. Załatwiali to raz-dwa, dla wopistów zawsze pewniejsza była zorganizowana grupa niż dwóch czy trzech piechurów, o których nic nie wiedzieli. Oczywiście ci uprzywilejowani przez WOP musieli trzymać się wyznaczonej trasy, w żadnym wypadku z niej nie zbaczać, a już na pewno nie próbować zbliżyć się do radzieckich słupków granicznych. Różnie to jednak bywało, nie zawsze dotrzymywano danego słowa. Niektórzy podkraдали się do słupków i zrywali z nich emblematy z sierpem i młotem oraz kłosami zbóż, nazywane często przez turystów „kapustami” ze względu na podobieństwo kształtu. U progu lat osiemdziesiątych kradzieże te stały się przyczyną ostrej interwencji Sowietów. W całym bieszczadzkim pasie granicznym już nagminnie ginęły radzieckie godła, więc polscy pogranicznicy zostali zmuszeni do tropienia sprawców. Kilka takich

3 *Sistiema* – pas graniczny chroniony zasiekami z drutu kolczastego i świeżo zaorywaną ziemią. Składał się z kilku takich barier.

Kopanie rowów odwadniających, Ustrzyki Górne, rok 1980. Bez nich po większym deszczu obozowicze grzęzłiby w błocie po kolana

Fot. archiwum bazy im. Żubra Pulpita



zasadzek zakończyło się nawet sukcesem strażników, choć nie zniechęciło to kolejnych odważnych do prób zrywania „kapuścianych” emblematów.

Wypady do Sianek (a w zasadzie skrawka wsi pozostałego po polskiej stronie) tak wspomina Witold Michałowski: „Zarosły zupełnie młodymi drzewkami przedwojenny gościniec, krzyżujące się tropy dzikiego zwierza. Bezruch, cisza i spokój zielonego morza. Zbite z grubych bierwion myśliwskie chatki na Mucznej, Wołowcu, nad Negryłowem. Parę bacówek, w których jesienią mieszkaliśmy z ukochaną dziewczyną, skrzypiący trianguł na Jeleniowatym, przy którym wyznawała swą miłość (...). Ostre kryterium wagi plecaka i umiejętności chodzenia po górach. Wszyscy, którzy tam docierali, mogli być śmiało zaliczani w poczet Bractwa Wielkiej Wyrupy, Wielkiej Miłości, Wielkiej Przygody”⁴.

Marzeniem i nader ambitnym przedsięwzięciem tamtego czasu była też wyprawa pod Przełęcz Użocką, do źródeł Sanu. – W takiej wędrowce, również za oficjalnym pozwoleniem, teoretycznie powinien towarzyszyć turystom wopista, ale układ wtedy był taki, że Polacy pilnowali strefy granicznej tylko „od dołu”, a granica jako taka strzeżona była przez żołnierzy sowieckich – tłumaczą przewodnicy SKPB. – Kilka osób nie mogło się już doczekać takiego przejścia, więc Janusz Wójcik zadzwonił z Ustrzyk Górnych do komendanta Skrzypka z prośbą o zezwolenie. Nie zastał go, powiedział jednak ufnie zastępującemu go sierżantowi, że taka to a taka grupka wybiera się na zajutrz na wyprawę. Sierżant wysłuchał w milczeniu i obiecał przekazać wiadomość.

– Poszedłem z Wilim Orsettim i jeszcze chyba z dwiema osobami, bez przeszkód dotarliśmy prawie na przełęcz, a przed zmrokiem zeszliśmy do Sianek przespać się w tamtejszej bacówce – opowiada z rozbawieniem Jerzy Korejwo. – Ale że nieopodal stały sowieckie wieże strażnicze, to natychmiast nas stamtąd dostrzeżono i zaalarmowano posterunek w Lutowiskach. Przed świtem rozległ się łomot do drzwi, wpadło trzech mundurowych i z gębą, kim jesteśmy, co tu robimy, jakim prawem i tak dalej.

4 Witold Michałowski, *Niezwykłe safari Witolda M.*, Wydawnictwo LTW, Łomianki 2011.

Ludzie z caryńskiej doliny

Najpierw był tylko on, a wkrótce potem już nikt ich nie liczył. Zbudowali szałas, sprowadzili zwierzęta, poszli się zameldować – w tej wsi nie wsi, do której wiodła ledwie leśna ścieżka. Może dlatego gminna urzędniczka nie wiedziała, gdzie to jest.

Ziemia od trzydziestu lat nieruszana, jak okiem sięgnąć burzany i las. Cóż robić w takim miejscu, na dzikich polach, w opuszczonej dawno dolinie? A jednak ktoś miał pomysł, nawet ideę, w myśl której życie nabiera sensu wyłącznie wtedy, gdy człowiek może dokonywać wolnych wyborów. Więc kiedy urzędniczka powiedziała im, że w takim miejscu osadzać się nie wolno (choć nie wiedziała, gdzie to jest), oni i tak postanowili zostać.

– Boże – szeptano z niepokojem po opłotkach – obdarte to to, złachmanione, włosy do ramion...

– Lepiej od nich z daleka – przestrzegano w sklepie – nie wiadomo, jaką zarazę w sobie mają...

– Podobno to te „hipisy” – plotkowano w domach – co się zielskiem odurzają...

– W imię ojca i syna...

– Cha, cha, cha! – Wieńczysław Nowacki (zwany dalej Wieśkiem albo Wieńkiem) zachodzi się do łez, ale potwierdza, że tak właśnie to wyglądało, kiedy w 1975 roku w dolinie Caryńskiego z kilkoma równie „podejrzanymi” zakładał nową osadę. – Nami to z początku nawet straszono dzieci.

Przyjechał w Bieszczady dwa lata wcześniej z Zawiszi w Opolskiem. Tamtejszy ponemiecki dom stał otworem dla młodych poszukujących własnej drogi, niegodzących się na ówczesną rzeczywistość, ale ich niedbały ubiór i luźny styl zachowania drażniły konserwatywne wiejskie środowisko. Gospodarstwo rychło nazwano w okolicy hipisowską komuną – i pewnie nie całkiem bez racji, bo niemało hipisów tam koczowało, włącznie z „praktykującymi” ćpunami. Byli wśród nich nawet tacy, którzy pomagali Nowackiemu w pracach na roli, a on widział w tym szansę na ich powrót do normalności.

– Sam na hipisa nie pozowałem – zaznacza – no i byłem zaciekle wrogiem narkotyków. A że jak inni nosiłem dłuższe włosy? Taki panował wtedy trend, „pióra” symbolizowały wolność i dlatego tak bardzo długowłosych tępiono. Ludowa władza robiła wszystko, żeby w środowiska chcące żyć po swojemu wprowadzać agentów. To im się udawało, nierzadko sami zachęcali młodych ludzi do ćpania, a potem



Rok 1973, bacówka góralska w Caryńskim

Fot. archiwum Piotra Dmyszewicza

wykorzystywali do penetracji rodzących się wówczas w Polsce komun hipisowskich. Postanowiłem, że spróbuję temu się przeciwstawić.

Latem 1973 roku na Festiwalu Awangardy Beatowej w Kaliszu Nowacki poznał Piotra Dmyszewicza, obiecującego plastyka z Wrocławia. Od jesieni 1972 rezydował on w Bieszczadach, ale – pragnąc żyć w możliwie największej izolacji – nikomu oprócz matki nie zdradził adresu. Nie podał go tym bardziej Nowackiemu, tyle że ten, wiedziony ciekawością i chęcią współpracy, parę miesięcy później bez problemów odnalazł kolegę.

Piotr Dmyszewicz też niby nie utożsamiał się z ruchem hipisowskim, ale przyznaje, że w jakimś sensie nurt ten go pociągał, zwłaszcza poprzez ideę życia w wolności i w symbiozie z naturą. – Wtedy jeszcze w Polsce trudno było określić, kto jest hipem, a kto nie – tłumaczy. – Noszenie „piór” czy różnobarwnych koralików niekoniecznie oznaczało przynależność do ruchu. Poza tym w Bieszczadach i tak jeszcze nikt nie znał pojęcia hipis, toteż na tak wyglądającego osobnika mówiło się „student”. A jak kudłaty spotykał na drodze równie kudłatego, w rozdeptanych butach, flanelowej koszuli i przydługim swetrze, to pozdrawiał go słowami: „Hej, człowieku!”

„Studentci” nosili się nonszalancko, słuchali bluesa i hard rocka, w większości mieli przyjazny stosunek do innych. Ale takie osoby kojarzyły się również z niezależną myślą, pewną tajemniczością, hermetycznością, słowem – stanowiły „element niepewny” w poukładanej peerelowskiej codzienności. – Ten polski ruch, powiedzmy że hipisowski, nie kopiował stylu zachodniego – wyjaśnia Dmyszewicz. – Powstał jakby niezależnie od tamtego, w sposób naturalny i żywiołowy. Bo Zachód żył w wolnym świecie, a my w totalitarnym, i dlatego tak bardzo szukaliśmy choćby namiastki tej wolności, odrobiny materialnej i duchowej przestrzeni dla siebie.

Najlepszym podówczas zakątkiem do znalezienia oazy szczęścia wydawały się być Bieszczady. Od wczesnych lat siedemdziesiątych zjeżdżało tu na chwilę lub na dłużej

Rodzina Strączków z Podhala
wypasała w Caryńskim owce
przez kilka sezonów – do czasu, aż
wypędził ich stamtąd pułkownik
Kazimierz Doskoczyński

Fot. archiwum Piotra Dmyszewicza

nie mało ludzi z zawieszonymi na piersiach pacyfami. Pierwsze ekipy wędrujących po Bieszczadach hipisów tworzyły osoby z wielu regionów i z różnych warstw społecznych, jednak nie przekształcały się one w trwałe i duże komuny *sensu stricto*. – Były to zwykle niewielkie grupki, nierzadko damsko-męskie, koczujące pod namiotami w wybranym miejscu, a potem przenoszące się gdzie indziej – opowiada Piotr Dmyszewicz. – Rosnące powodzenie „hipisowania” wynikało w dużym



stopniu z frustracji PRL-em, niespełnionymi marzeniami i zawiedzionymi nadziejami pokolenia wchodzącego w dorosłość na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Bieszczady stały się dla wielu miejscem najlepszym do odreagowania, w dodatku umożliwiającym egzystencję w bliskości przyrody i w oddaleniu od siemiężnej szarzyzny miasta.

Zdolny plastyk Piotr uciekł w Bieszczady z tych samych powodów. Dzięki poparciu podleśniczego Grzegorza Zyndwalewicz, jak on – wrocławianina, zaczął pracę w gospodarstwie Stanisława Rusina w Dwerniczku. Uczył się murarki, ciesiołki, hodowli zwierząt, a w przerwach rozmyślał, jak w tych górach zapuścić korzenie. Taka okazja niebawem się nadarzyła. Na kwaterze u Rusina od czasu do czasu zatrzymywali się studenci z Politechniki Warszawskiej, którzy w 1973 roku zaczęli budować schronisko na Przysłupie Caryńskim. Kiedy wyjeżdżali, budowa zostawała bez dozoru. – Miano- wano mnie stróżem – uśmiecha się Dmyszewicz – ściągnąłem brata i już stróżowaliśmy we dwóch, tylko za kąt do spania w piwnicy budynku. Wiosną 1974 „polibuda” podpisała z nami umowy o pracę i przydzieliła pieniądze na utrzymanie powstającego schroniska. Na jesieni dołączył do nas najmłodszy brat. W takiej sile, wyposażeni w siekiery i piły spalinowe, nie musieliśmy się obawiać ani złodziei, ani niedźwiedzi.



Podobny los spotkał rodzinę Barnasiów – tu przy dojeniu owiec w Caryńskim, rok 1974

Fot. archiwum Piotra Dmyszewicza

I właśnie tam, na Przysłupie, w październikowy poranek odnalazł Dmyszewicza Wieńczysław Nowacki. Nie ukrywa, że na widok doliny Caryńskiego zapaliły mu się oczy. Został z Dmyszewiczami w ich piwnicznej klitce dwa na trzy metry, jak oni spał na wąskiej przyczy i czekał wiosennych promieni słońca. Tymczasem mrozy nadeszły tęgie, nierzadko do minus trzydziestu, lód skuł niedokończoną kolibę, przez szpary między deskami wiatr nawiewał śnieg i tylko w kanciapie ogrzewanej żeliwnym piecykiem dawało się wytrzymać.

Pod koniec zimy Nowacki wyjechał na Opolszczyznę. Tam sprzedał gospodarstwo i w kwietniu był z powrotem w Bieszczadach, napełniony wizją stworzenia w zielonej dolinie rolniczej wioski oraz „sanatorium” dla narkomanów. Uważał, że problem narkomanii wśród młodych Polaków narasta, a partia, rząd, ministerstwo zdrowia nic w tej kwestii nie robią. Miał rację – w Polsce Ludowej coś takiego jak narkomania oficjalnie nie istniało, choć zagubieni młodzieńcy włączyli się po ulicach, żarli prochy i wączali klej. Mimo że gdzieś próbowano o tym pisać, cenzura zazwyczaj nie dopuszczała do ukazywania się publikacji o narkomanach. Godziłoby to w wizerunek socjalistycznego kraju, według oficjalnej propagandy wolnego od podobnych, typowych dla zgniłego Zachodu patologii.

Piotr Dmyszewicz: – Nie bardzo wierzyłem w powodzenie stworzenia ośrodka dla narkomanów, ale Wienio strasznie się napalił. Ta *idée fixe* całkowicie zaprzątęła jego umysł, coraz więcej podróżował po Polsce, szukał kontaktów z lekarzami i terapeutami mogącymi poprzeć projekt. Początkowo nie było wiadomo, gdzie Wieniek planuje założyć ten plenerowy szpital, na Przysłupie czy w samym Caryńskim, ale faktem jest, że wieść o nim dość szybko rozniosła się po kraju. Nawet jacyś młodzieńcy zaczęli się tu zjawiać, niby z myślą o leczeniu; przyjmowałem ich w otwartym już schronisku jak turystów, bo przecież żaden ośrodek jeszcze nie funkcjonował. Miałem obowiązek

Zdzisław Rados (po prawej) i Wojciech Dmyszewicz zimą 1974 roku w Przysłupie Caryńskim

Fot. archiwum Piotra Dmyszewicza

meldowania każdego przybysza, jednak pewnych ludzi dla ich dobra meldować nie należało. Niektórzy starali się schować w Bieszczadach przed poborem do wojska; uważali się za pacyfistów, więc kluczyli po kraju, chowając się przed organami ścigania.

Wieńczysław Nowacki: – Jeździłem często do Poznania. Tam, w wąskim kręgu osób rozumiejących potrzebę utworzenia takiego „sanatorium”, moja koncepcja z wolna nabierała rumieńców. Rozmawialiśmy jednocześnie o potrzebie zmian politycznych w kraju, o konieczności wzięcia w obronę i reprezentowania interesów coraz bardziej ubożających rolników. O tych naszych nieformalnych spotkaniach dowiedziała się bezpieka.

Ktoregoś wieczoru „na chama” rozwalono drzwi mieszkania mojego znajomego w bloku, przeprowadzono rewizję i nas przesłuchano. W proteście z Krzysztofem Kijewskim napisaliśmy list otwarty o tych wydarzeniach, trafił do centralnych władz i do mediów. Zaraz potem wróciłem w Bieszczady, a w ślad za mną rozesłano informację do wszystkich jednostek milicji, by uważano na tak „niebezpiecznego” osobnika.

Postanowił urządzić się w Caryńskim. W 1975 roku zbudował pierwszą chatę, a raczej prymitywny szałas, który dawał jednak schronienie, względne bezpieczeństwo i możliwość bycia na swoim z dala od wścibskich spojrzeń. Nie żeby Nowacki nie lubił ludzi, przeciwnie, ale – jak podkreśla – nie chciał być na widoku służb. Cóż z tego, skoro i tam go ktoś wytropił, akurat podczas chwilowej nieobecności, kiedy poszedł przeczekać największe zimowe chłody do przyjaciół w Dwerniku. Ten ktoś zapalił zapałkę i po chwili z szałasu został popiół... Nowacki niemal skamieniał na widok pogorzelska, ale otrząsnął się, chwycił siekierę i z jeszcze większym zapałem, z jeszcze większą zaciętością wziął się do roboty. Na wzniesieniu między świerkami i brzożami stanął tym razem domek z brzożowych bali, niczego sobie, a charakteryzował się tym, że nie miał w sobie ani jednego gwoźdź. Budowniczy amator by tego nie dokonał, nie





Zebrane w lesie przez Piotra i Wojciecha Dmyszewiczów poroża jeleni ułożone przed kolibą w Przysłupie Caryńskim. Wiosna 1974 roku

Fot. archiwum Piotra Dmyszewicza

wymyśliłby takich sprytnych łączeń – szczęściem dla pierwszego od wojny gospodarza w Caryńskim znaleźli się chętni do pomocy góralscy cieśle. Na co dzień wypasali w okolicy owce i tak samo jak on drażnili swoją niezależnością gminną władzę oraz komendanta MO.

Caryńskie... Tak mogła wyglądać namiastka rajy, z jabłoniemi, śliwami i gruszami, z bujną soczystą trawą, strumieniami i lasem pełnym dzikiego zwierza. Na ten rajski przedsięwzięcie spoglądała przez wieki spod nieba Caryńska Polonina – z wypasanymi na niej wołami i grającymi na trombitach pastuchami. Ale to było dawno; potem znikły woły, zeszli z gór pasterze,

zabrali swoje trombity i poszli przez San dalej na wschód, bo tak im pod groźbą nakazano. W 1946 roku wysiedlono całą wieś, kilkuset ludzi. Chyż i cerkiew puszczono z dymem, zostali tylko umarli: pod kamieniami z piaskowca, kopczykami z wijącym się na nich barwinkiem, żeliwnymi krzyżami kutymi przez cygańskich kowali... Taki był koniec Caryńskiego, jakże podobny do losu innych, gęsto rozsiansych po Bieszczadach wsi – pełen strachu, ognia i płaczu.

I właśnie tutaj, w tej opuszczonej, zapomnianej dolinie rękami osadnika Wieńczyśława Nowackiego rodziło się nowe życie. Lata minęły, całe pokolenie, i znowu cudnie było w Caryńskim. Tyle że podziwianiem widoków nie można się najeść. Wiedział to Nowacki i choć miał trochę pieniędzy ze sprzedanego w Zawiści gospodarstwa, to roztropnie pomyślał, że warto by nająć się do jakiejś roboty. Przygarnął go góral z wypołu pod Dwernikiem, bo widział młodego długowłosego, jak w wielkim plecaku targa prowiant do swojej hacjendy w lesie, i strasznie go to dziwiło, że w pojedynkę na tym odludziu daje sobie radę. Więc któregoś dnia zaczęli Wieska, pogadali sobie i koniec końców już razem wypalali węgiel z metrówek olchy, grabu i buka, w dodatku w najprawdziwszych mielerzach.

Caryńskie, wypas owiec, rok 1975.
 Góralom pomagali w tamtym czasie bracia
 Dmyszewiczowie: Wojciech, Michał i Piotr
 Fot. archiwum Piotra Dmyszewicza



Wtedy na wypałach w Bieszczadach pracowało niemało ludzi, ze wsząd tu przyjeżdżali za mozolnie wypracowywaną, ale i pokązną forszą. I nie ma co dawać wiary, że same typy spod ciemnej gwiazdy, moczymordy, wszelkiej maści lumpy. Zdarzały się także osoby z dyplomami magistrów, inżynierów, niedoszli doktorzy i habilitanci, władający niekiedy biegle obcymi językami. Zaś wśród nich i tacy, którzy raz na zawsze chcieli się schować, z rozmaitych względów zniknąc z oczu komuś dotąd bliskiemu, spalić za sobą wszystkie mosty, odgrodzić się od tego co przeszłe niewidzialną, acz wyraźną granicą. To dlatego w tej ludzkiej masie wszelakich życiowych rozbitków nie

brakowało jednostek na pozór bez tożsamości, bez posiadania choćby jednego wypłowiałego kwitka świadczącego o dotychczasowym życiu. Dla nich fotografia i wpis w zielonych okładkach dowodu osobistego stanowiły przypomnienie czegoś, o czym pamiętać nie chcieli, dla niektórych być może było to nawet ograniczenie po swojemu rozumianej swobody, którą cenili nad wszystko inne i w myśl której stawali się obywatelami zewsząd i znikąd.

Kiedy już stanęła chata Nowackiego, kiedy zainstalował pryczę, poprzybijał półki, postawił stół i krzesła, musiał pomyśleć o spiżarni. Jego poprzednicy – Bojkowie – trzymali żywność w ziemiankach lub murowanych z kamienia piwnicach, toteż i on postanowił sobie taką sprawić. Mógł zresztą próbować odszukać stare spiżarnie po spalonych i zawalonych domostwach, ale po kilkudziesięciu latach zarosły one tarniną i krzakami, a wejścia do nich znały tylko gryzonie i liczna w takich miejscach gadzina. Dlatego lepiej było wykopać nową ziemiankę w odpowiednio zacienionym miejscu, zaopatrzyć się w gliniane garnki i w nich składować szczelnie zabezpieczone przed myszami i nornicami jedzenie.



Zbieracze runa leśnego i ich namiot. Obóz w Caryńskim, prawdopodobnie rok 1975

Fot. archiwum Piotra Dmyszewicza

Można powiedzieć, że Caryńskie znów zaczęło funkcjonować. Nowacki wykarczował krzaki, obsiał ziemię, kupił stado owiec i kilka krów. Chciał być samowystarczalny jako rolnik, a jednocześnie – zgodnie z powziętym wcześniej zamiarem – angażować w tę pracę ludzi uzależnionych od narkotyków. Kiedyś przeczytał w jakiejś mądrej księdze, że praca może być dla nich najlepszą terapią, ponieważ uruchamia pozytywne bodźce, pobudza optymistyczne myślenie, buzują endorfiny, słowem – jest to nadzwyczaj skuteczna terapia, której w żaden sposób nie zastąpi nawet najlepsza farmakologia.

Wtedy, w połowie siódmej dekady, w okolicy było już dość głośno o tym, że Caryńskie ma gospodarza, zarazem nieformalnego softysa. Zaś kiedy poszła fama o wstępnie planowanym we wsi ośrodku terapeutycznym, zrobiło się jeszcze głośniejsze. Nowacki: – Nawiązałem kontakty ze specjalistami mającymi już jakieś doświadczenie w pracy z osobami uzależnionymi lub próbującymi przeciwdziałać zjawisku narkomanii. Poznałem między innymi księdza Stanisława Małkowskiego, doktora Zbigniewa Thille, księdza profesora Czesława Cekierę. To wszystko działo się jeszcze przed inicjatywą Marka Kotańskiego, a więc było prekursorskie, tym bardziej że mieliśmy kurować ludzi w warunkach wybitnie terenowych, wręcz spartańskich.

Za wczesnego Gierka polscy narkomani byli odtruwani w szpitalu psychiatrycznym w Lubiążu, jedynym takim miejscu w Polsce. Lubiąż miał dwa tysiące mieszkańców, zaś w samym szpitalu pracowało półtora tysiąca personelu mającego pod opieką półtora tysiąca pacjentów z różnymi zaburzeniami. Psycholog Wiesław Fiszer przyjechał tam pewnego dnia wysłuchać wykładów dotyczących nowatorskich sposobów ratowania ćpunów. Prowadzili je lekarze, którzy liźnęli nieco Zachodu, a przewodził im wspomniany wyżej Zbigniew Thille, dyrektor lecznicy, człowiek, któremu ówczesnie w Polsce – jak twierdzą jego znajomi – najbardziej zależało na pomaganiu młodzieży dotkniętej problemem narkotykowym.

– Rozumiał, że wśród całej palety świrów, lekomanów jest niemało ludzi wartościowych i za wszelką cenę postanowił ich wyrwać z nałogu – wspomina Fiszer. – Traktował ich po przyjacielsku, pozwalał do siebie mówić po imieniu i nie widział żadnego problemu w tym, że on jest znanym uczonym, a oni w dużej mierze jednostkami ze społecznych nizin, na które zesłi przez „drugi”. Pochylał się nad nimi niczym ojciec, stosując jednak nietypową terapię. Podpatrzył ją w Holandii, nazywała się z angielska *free clinic* i polegała na tym, że zamiast faszeringowania pacjentów wyłącznie ciężkimi lekami, wprowadzono system nagród za wytrwałość i fizyczną pracę. Zapraszano później aktorów, piosenkarzy, pokazywano uzależnionym, że warto się wysilić, by potem mieć radochę.

Thille nie mógłby prowadzić takiego ośrodka, gdyby nie zapisał się do partii. Jego dawni współpracownicy mówią, że zrobił to wyłącznie z tego powodu, bo przekonania miał antysocjalistyczne. Zapewne wiele go taka decyzja moralnie kosztowała, jednak warta była poświęcenia. Tyle że rosnąca popularność prowadzonego przez Thillego oddziału 12B dla narkomanów dość szybko zaczęła drażnić władze. Dotarło do nich, że lekarz spoufala się z pacjentami, że jego podwładni jeżdżą do Wrocławia, namierzają ćpunów i osobiście przywożą na odtrucie, że zamiast tradycyjnego łykania tabletek stosuje się przejęte z Zachodu udużnione metody. I tak dalej.

– Wkrótce Zbyszek dostał kopniaka w górę, przeniesiono go do Warszawy, a tam już nie mógł robić tego, co w Lubiążu – tłumaczy Fiszer. – W ten sposób został usadzony, pozbawiony możliwości pracy z uzależnionymi według własnej koncepcji. Dano mu do zrozumienia, że Polska Ludowa nie będzie się zamartwiać ćpunami. Nie wiem, czy się po tym załamał, czy coś innego się wydarzyło, ale pewnego dnia znaleziono go martwego w hotelu. Na pogrzeb w Malborku, skąd pochodził, przyszły tłumy, jednak najbardziej symboliczny był moment, kiedy już po oficjalnych uroczystościach przy jego grobie stanęli wianuszkami narkomani i długo wylewali łzy nad swoim dobroczyńcą.

Wiesław Fiszer przejął w Lubiążu schedę po Thillem, choć nie dyrektorował. Miał do dyspozycji ten sam zespół lekarzy, starał się leczyć wedle założeń poprzednika, a dodatkowo wprowadził jeszcze własne rozwiązania. Chodziło o punkty dodatnie i ujemne. Przykładowo: jak ktoś zaćpał, dostawał minus pięćset punktów. Nie był przekreślany, jednak musiał te braki nadrobić – w dowolny sensowny sposób, najlepiej przez pracę na rzecz ośrodka. Jeśli punktów ujemnych nabierało się zbyt dużo, pacjent wylatywał, ale nie zamykano mu drogi powrotnej. Musiał ponownie ubiegać się o przyjęcie, choć niewielu z tej możliwości korzystało, raczej znowu oddawali się klejom i innym chemicznym specyfikom oraz lekom psychotropowym¹.

1 Do pierwszej dekady lat siedemdziesiątych w Polsce były to najbardziej rozpowszechnione środki odurzające. Narkomani nierazkrodo wlamywali się do aptek i kradli psychotropy oraz morfinę. Tworzyli też własne receptury mieszanek na bazie klejów, rozpuszczalników itp. W 1976 roku dwaj studenci chemii z Gdańska wymyślili, jak uzyskiwać narkotyki ze słomy makowej. Tak powstała polska heroína nazywana popularnie „kompotem”, niezwykle toksyczny i silnie uzależniający środek aplikowany dożylnie.

Druga część zbioru reportaży Krzysztofa Potaczały o Bieszczadach w PRL-u. Elektryzujące historie oparte głównie na relacjach świadków tamtych czasów przeplatane anegdotami oraz dokumentami, między innymi MO i SB. Dzieje dwóch pomników generała Świerczewskiego w Jabłonkach i Chaty Socjologa na Otrycie; pierwsze namiotowe bazy studenckie i dzika osada hipisów w Caryńskim; wzniesiony nielegalnie w świetle latarek kościoł w Nowosiólkach i nieudana próba stworzenia w Łopience wioski skansenowej; kulisy powstania i upadku kombinatu drzewnego „Ustianowa”, bombowa wizja towarzysza Gierka, wreszcie – podróże pociągami pod sowieckim nadzorem. A to nie wszystkie tematy tej bogato ilustrowanej archiwalnymi fotografiami książki.

Pasjonująca opowieść, a w zasadzie zbiór gawęd, które zainteresują nie tylko miłośników bieszczadzkiej przyrody, ale też niezwykle wzbogacą wiedzę o życiu w PRL-u, trudnym życiu codziennym tamtejszych mieszkańców, przeżyciach licznych przybyszów z innych części kraju, których w Bieszczady przygnały najróżniejsze powody, bo nie tylko turystyczna pasja.

Autor wykorzystuje najcenniejszy materiał historyczny, jakim są wspomnienia naocznych świadków, materiał przy tym niezwykle ulotny, bo świadkowie z biegiem lat odchodzą – i w tym leży jego wielka zasługa. Dopełnia tę wiedzę poszukiwaniami archiwalnymi, kwerendą w prasie, a także dołącza liczne fotografie archiwalne z tamtych lat, w dużej mierze z własnych zbiorów. Tworzy się w ten sposób niepowtarzalna mozaika faktów układająca się jednak w interesujący ciąg zdarzeń, jakie miały miejsce w tym dalekim zakątku Polski.

Piotr Dobrołęcki, fragment recenzji pierwszej części *Bieszczadów w PRL-u*